

**PIOTR,**  
**SOWIŃSKI**  
**MECZ O ŻYCIE**

*Redakcja:*  
Monika Ulatowska

*Projekt okładki:*  
Wojciech Miatkowski

*Skład:*  
Paweł Szewczyk

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2018

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-412-3

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński  
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14  
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02  
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54  
www.km.com.pl; e-mail: [biuro@km.com.pl](mailto:biuro@km.com.pl)

Łódź 2018. Wydanie 1

# Rozdział 1

*Jesień 1982*

– Dwie flaszki chyba starczą? – pan Mietek z miejsca dał do zrozumienia, że nie przewiduje karnych.

Henryk Kapustka patrzył na pogrążającą się w listopadowej pomroce Dąbrowę. Zresztą z dziewiątego piętra jego wieżowca widać było dobrze nie tylko Dąbrowę, ale i pobliskie Chojny oraz Widzew. Na horyzoncie majaczyły bloki Retkini. Na samym końcu widnokregu rysowały się we mgle blokowiska Teofilowa. Wszystko otulała listopadowa ślągwa, łaskawie skrywając nieznośną szarość miasta Tuwima. Chyba złośliwa Klio spowodowała, że autor *Kwiatów polskich* urodził się nie gdzie indziej, tylko właśnie w tym betonowo-ceglastym molochu. Moloch ów przytłaczał brzydota, przygniatał beznadzieją podłej egzystencji i zniewalał monotonnością szarych dni nawet wtedy, gdy teoretycznie świeciło słońce. Z nozdrzy Molocha buchały kłęby fabrycznych wyziewów, przesycone smrodem palonych śmieci. Z ust Molocha dobywał się chrapliwy odgłos tysięcy tanich butów, które dzień w dzień uderzały o stary bruk, względnie – o zawsze krzywo położone płyty chodnikowe. Stukot obcasów mieszał się z lamentem przekleństw, litaniami wściekłości, bełkotem prośb o lepsze jutro, okrzykami radości z powodu zakupionej kaszanki.

Henryk drgnął. Jego wzrok padł na wybijające się z morza szarugi cztery maszty. Na masztach iskrzyły się diamentowe główce, za chwilę miał rozpocząć się mecz.

– Chyba starczą, zresztą przy reglamentacji wódki to i tak nieźle – zaśmiał się.

– Ano, nieźle. Dwa jeden na wyjeździe. Wystarczy huknąć im bramusię i niech spadają do Wiednia. Ale my im walniemy dwie. Dlatego i dwie flaszunie przyniosłem. – Pan Miecio wyraźnie się nakręcał.

– Ja bym się tak nie napalał – z inżynierskim spokojem rzekł Henryk. – Bez Smolarka, bez Tłokińskiego wcale nie musi być łatwo.

– Byleby tylko Andrzejkowi nic się nie stało. – Do rozmowy włączyła się Irenka. – Tak się boję, tyle ostatnio się mówi o tych ekscesach kibiców.

– Duży już jest, ma trzynaście lat. Musi sobie radzić – uspokoił żonę Henryk.

Tymczasem do pokoju przybyli inni sąsiedzi Kapustków. Pani Wiesława przyniosła salceson nazywany „cwaniaczkiem”, pan Cezary błysnął puszczką mielonki z pewexu. Na tle tych rarytasów wkład pani Genowefy wyglądał nader skromnie. Piernik z marchwi – za to z prawdziwym cukrem.

Rozpoczął się mecz. Andrzej Zydorowicz pewnie by się ucieszył, gdyby usłyszał radość, która nastąpiła w łódzkich domach na wieść, że mecz relacjonuje właśnie on, a nie żaden komentator z Warszawy. Pan Miecio nalał do kieliszków. Na stole oczkami tłuszczu wesoło świecił „cwaniaczek”. Jednak jego zaloty były daremne. Wyjęta z kolorowej puszkii dewizowa mielonka pana Cezarego zbywała nachalnego absztyfikanta. Piernik z marchwi nawet nie śmiał stawać w szranki. Jego marzeniem było, by ktokolwiek go przegryzł. Zresztą jego zmartwychwstanie było cudem na miarę zmartwychwstania Pańskiego. Przecież od czasów, kiedy Łódź nazywała się Lizmannstadt, nikt go nie jadł. Jednak teraz – w wigilię czterdziestolecia władzy ludowej w Polsce – następował jego wielki powrót.

– No żesz kurwa mać – skomentował pierwszą połowę porucznik Kostecki.

Do przerwy Widzew prowadził z Rapidem Wiedeń trzy do jednego. Niby nie było źle. Taki wynik dawał awans. Jednak Kostecki miał złe przecucia. Przez pierwsze pół godziny Widzew miażdżył rywala. Na bramkę wiedeńczyków przypuszczała ataki widzowska husaria. Dwa razy Paweł Woźniak, a potem Rozborski trafili do siatki. I kiedy czwarta bramka wisiała w powietrzu, sędzia Soerensen podyktował karnego dla spadkobierców sławy Rudolfa Hidena. Stadion zawył, gdyż wszyscy widzieli, że Grębosz trafił w piłkę, a nie w nogę rywala. Jednak sędzia widział lepiej i Antonin Panenka w swoim stylu pokonał Młynarczyka. Od tej pory Widzew przygasł. A Rapid coraz śmieiej przymierzał się do zadania kolejnego ciosu.

Zirytowany Kostecki sięgnął po kolejnego sporta. Przez chwilę mocował się z zapalniczką. Wreszcie zapalił. Zaciągnawszy się z animuszem, poczuł przyjemne odprężenie. Przez chwilę obserwował czerwone ogniki na zwieńczeniu papierosa. „Chyba tylko w tym żalonym państwie ktoś mógł nadać fajkom nazwę »Sport«” – pomyślał z rozbawieniem. „Ciekawe, kiedy wódce dadzą nazwę »Czuły kochanek« albo jabolowi – »Zemsta teściowej«. Na salceson, zamiast »cwaniaczek«, można by mówić: »W Oświęcimiu tego nie mieli«. Na pomarańcze zaś – »Towarzysz Che«. Zaśmiał się sam do siebie. Przecież pomarańczy nawet na Kubie pewnie już nie ma. Ale ten „Czuły kochanek”? Na tylnej etykiecie mógłby być napis: „Wzmacnia pożądanie, osłabia wykonanie”. Zaciągnął się ponownie. Z nabożną czcią wymacał w kieszeni małą piersiówkę, którą dostał od majora Błochina z Kijowa. „Ciekawe, czy to jakiś krewny Olega?” – pomyślał. Piersiówkę miał na wypadek porażki. Tak w razie czego.

Gdy papieros dogasł, na murawę stadionu przy alei Unii wybiegli piłkarze obu drużyn. Kiedy dziesięć minut potem Austriacy strzelili drugiego gola, Tadeusz po raz kolejny wymacał

prezent od majora Błochina. Zacisnął na srebrzystym metalu palce i wraz z tysiącem kibiców ryknął z całej siły.

Gromkie „ertees!” przetoczyło się przez stadion. Tłum zawirował. Włóczkowe szaliki stworzyły czerwono-biało-czerwony kobierzec. Stadion przypominał kocioł czarownic, w którym raz po raz wybuchały czarcie mikstury. Niesiony dopingiem Widzew powoli podnosił się z kolan. Widzewska maszynieria na powrót wchodziła na najwyższe obroty. Poszczególne elementy zaczęły się zazębiać. Turbiny napędzały ustrojstwo, pompy tłoczyły powietrze. Młot dźwigał się do uderzenia. Polski Manchester ruszył z impetem. W sześćdziesiątej trzeciej minucie młot uderzył. Surlit po raz kolejny wypróbował wytrzymałość siatki. Osiem minut później dziewiętnastoletni Wraga przyjął piłkę na środku boiska i pognął jak szalony w stronę Feurera. Niczym profesor wepchnął piłkę do pustej bramki. Stadionem wstrząsnął szal radości. Pięć dwa!!! Tadeusz rzucił się w objęcia przypadkowych widzów. Stadionowi chorążowie dźwignęli klubowe sztandary. Czerwień i biel przykryły betonową konstrukcję. Czerwono-biało-czerwony dywan przetoczył się przez trybunę. Fiasty nie zmaćił nawet samobójczy gol Grębosza. Widzew wygrał pięć do trzech i w marcu miał zagrać w ćwierćfinale Pucharu Europy.

Uradowany Tadeusz zapomniał o piersiówce. Zamiast wypić haust wódki, poszedł na trening judo. Z alei Unii do Hali Gwardii miał blisko. Rozpierała go energia. Wskoczywszy do swojego poloneza, uruchomił silnik i ruszył, mijając po drodze wysłużone syreny, sponiewierane warszawy oraz ryczące niczym rakiety SS-20 zaporozce. Jadąc, przegryzł kanapkę z serkiem Wdzewskim. Po piętnastu minutach jazdy zatrzymał wóz przed klubem Gwardia.

Przed wejściem stało dwóch przedstawicieli łódzkiego lumpenproletariatu.

- Dobry wieczór, panie poruczniku – zagaił jeden z nich.
- Kłaniam się władzy ludowej – uniżenie wycedził drugi.

Kafel i Posejdon byli stałymi rezydentami rewiru między Mickiewicza, Piotrkowską, Kościuszki a Zieloną. Byli w wieku porucznika, jednak ich twarze wyglądały niczym zeschnięte pieczywo. Głębokie bruzdy wyryte na facjatach przypominały o hektolitrach wody i jaboli, które dzień po dniu splukiwały spleen z gardeł obu dżentelmenów. Za dnia koczowali przed pewexem. Niepisana umowa z cinkciarzami gwarantowała im dostęp do resztek wódki i piwa w zamian za amnezję podczas rutynowych pytań milicjantów. Zresztą przeszło pół roku temu milicja cinkciarzami przestała się interesować. Zawsze o godzinie dwunastej zajmowali się rezerwowaniem kolejki po wódkę. Sami oczywiście nie kupowali, ale wdzięczni szczęśliwcy za każdym razem odwzajemniali się tak zwanym dziabem. Czyli solidnym lykiem pociągniętym z butelek skrywających przeźroczysty sposób na przetrwanie epoki realnego socjalizmu. Wieczory spędzali na różne sposoby. Czasem ktoś oddawał im portfel z biletami Narodowego Banku Polskiego. Czasami wystawiali w rozmaitych miejscach, licząc na uśmiech fortuny.

– Czołem, panowie – wesolo zawołał Kostecki.

– Oj tam, od razu „panowie” – zachnął się Kafel. – Panowie to za sanacji byli, tera to my są obywatele.

– Marceli Nowotko wystarczy? – Tadeusz zadał pytanie retoryczne.

– O, królu złoty – zapiszczał Posejdon. – Od razu widać, że pan porucznik z krwi i kości dziecko proletariatu. Wystarczy, wystarczy.

Uśmiechnięty Kostecki rzucił im monetę dwudziestozłotową. Obaj koryfeusze wiodącej klasy społecznej rzucili się na zdobycz. W drzwiach do klubu dobiegł go zduszony okrzyk dziękczynny. Sam nie wiedział, czy brzmiał: „Bóg zapłać”, czy też „Chuj ci na imię, cwelu”.

– Galancie, galancie – skwitował wynik meczu pan Micio. – Pięć bramek! A my tylko litra mieli.

– Heniu! A może napijemy się tego piwa z Niemiec? – zawołała Irenka.

Heniuowi pociemniało w oczach. Prawdziwe piwo z RFN. Złocisty napój prosto z Hanoweru. Prezent od córki Marty i zięcia Karla. Miało być na szczególną okazję. Na spotkanie z kolegami z politechniki. Już słyszał te ciamkania, siorbania, mlaskania. W imaginacji widział dziekana, jak zanurza usta w prawdziwym piwie, a potem ociera wąsy z puszystej piany. Oczami wyobraźni widział, jak rektor z namaszczeniem otwiera puszkę. Po czym wlewa złoty płyn do potężnego kufła z herbem Hanoweru 96. Rozkoszował się tymi obrazami. Upajał odgłosami zachwytu nad jego życiową zaradnością. Wszak te wszystkie odgłosy i obrazy miały odsunąć w cień gęganie gęsi, muczenie krów, chrupkanie prosiąt taplających się na rubieżach Srocka. Miały sankcjonować jego życiowy sukces. Potwierdzać awans ze srockich pól i pastwisk do M3 na Dąbrowie. A teraz? Piwo z Zachodu dla Miecia i Czarka? Z bólem serca przyniósł z balkonu karton z dziesięcioma puszkami.

Po dziewięćdziesięciu minutach treningu Tadeusz czuł wszystkie mięśnie. Endorfiny wydzielone podczas meczu zostały wzmocnione kolejną transzą. Pod prysznicem namaścił ciało mydłem marki Studenckie. Co prawda mydło to nie mydliło się wcale, ale przez to na dłużej starczało. Zresztą Tadeusz wcale o tym nie myślał. Pijąc piwo Łódzkie, też nie oczekiwał, że się będzie pieniść. Cieszył się, że jest. Lekki jak piórko wsiadł do poldka i ruszył z werwą. Na retkińskiej ulicy, której patronował Salvador Allende, był za piętnaście dziesiąta wieczorem.

Retkińskie blokowisko sprawiało wrażenie wymarłej pustyni. Listopadowy wiatr przeciskał się przez przerwy między blokami i wył przeraźliwie. Z rzadka działające latarnie dawały słaby blask. Te, na których kibice ŁKS wyładowywali frustrację z powodów sukcesów Widzewa, wyglądały jak umarłe kikuty drzew w Górach Izerskich. Pozbawione żarówek dobrze



komponowały się z krajobrazem miasta i cmentarną ciszą blokowisk. Było coś makabrycznego w tej ciszy, jak gdyby mieszkańcy osiedla mieli wstać z rana z przekonaniem o życiowej niemocy. Upačkani w tłamszącej karmie niemożności zmiany przeznaczenia. Owinięte pledami kobiety będą rano cierpliwie ustawiać się w kolejce po porcję kaszanki lub salcesonu. Godzinami będą jęczeć nad swoim losem. Pomstować na swoich mężów, braci, ojców. Pogodzone z losem niewolnic będą błagać o kawał chabaniny, by zadośćuczynić potrzebom podstawowej komórki społecznej. Następnie przez osiem godzin będą siedzieć lub stać przy maszynach. W ich głowach hałas maszynerii będzie wybijał rytm niewolniczego losu. W dusznych, zapyłonych halach fabrycznych będą wdychać brud. Popędzane przez majstrów będą wyrabiać normy, wypełniać założenia planu, budować socjalizm, umacniać Polskę nad Odrą i Nysą Łużycka, stać na straży sojuszu ze Związkiem Radzieckim, torować drogę siłom postępu. Wichrzycielom i bumelantom będą mówić stanowcze „nie”. Tamując krew spływającą między nogami kawałkiem bawełny, będą dawać odpór rewanzystom i rewizjonistom. W połowie drogi między skrobanką a pronieciem będą przekuwać na czyn ideały marksizmu i leninizmu. Potem, stojąc na straży pokoju, będą gotować zalewajkę, by synowie byli gotowi oddać życie za ideały wielkiego października. By ich córki szły w ich ślady, nosząc z pokorą brzemień tradycji. Wieczorem będą rozkładać nogi przed swoimi mężami, rzadziej kochankami. Będą wdychać pot z niemytych ciał i z rzadka pranych skarpetek. Czuć sapanie z ust nieskażonych pastą do zębów. Udawać, by jak najszybciej móc namoczyć pranie, wyprasować ubrania dla dziecka, podgotować obiad, zrobić kanapki, zacerować dziury, podpisać uwagi w dzienniczku, przyszyć tarczę do szkolnego stroju, modlić się, by choroba nie zwała z nóg, sprawdzić, czy ekspedientki nie oszukały przy wycinaniu kuponów w kartkach na mięso i inne produkty.

Może zdążą zerknąć w lustro i zobaczą w nim twarze swych matek i babek. A rano spojrzą z wyrzutem na swoich mężów.

Mężowie pierwsze, co zrobią, to założą na rękę zegarki z siedmioma melodyjkami i czterema guziczkami. Zegarki kupione za równowartość jednej trzeciej pensji. Kupione na bazarze, na targowisku. Kupione, by z pogardą patrzeć na tych, którzy takich zegarków jeszcze nie mają albo noszą zegarki z trzema tylko guziczkami, bez melodyjek. Dla tych, którzy mają zegarki bez żadnego guziczka, nie warto nawet wysilać się, by nimi gardzić. Są pariasami. Te ich doxy są równie gówniane, co ruskie czasometry. Oni po prostu nie istnieją. Po założeniu zegarków mężowie ruszą do pracy, do roboty, do tyrki, do szwalń, budów, zakładów przemysłu takiego i siakiego, do spółdzielni, magazynów, ośrodków napraw. W pracy będą jeść kanapki z salcesonem, kaszanką, pasztetową. Ci biedniejsi zamiast pasztetowej będą jeść kanapki z plackami ziemniaczanymi, ale twierdzić, że to schabowe. W pracy będą myśleć, jak wynieść młotek, transformator, piłę do metalu, wiertarkę. Wynieść i sprzedać. A potem kupić zegarek z siedmioma melodyjkami albo pornosa z Reichu. Przed południem będą gorączkowo myśleć, kto kupi wódkę. Jak wykupią przydział z kartek, będą ustalać, gdzie jest meta. Na mecie wódkę można kupić od ósmej albo i siódmej. Można już rano poczuć się panem swojego życia. Potem po fajrancie pędem biegną do kiosku po „Express Ilustrowany”. Po „Express” stoi się w kolejkach, bywa, że i stuosobowych. Po „Głos Robotniczy” nikt nie stoi, rano kolejek nie ma. Dlaczego tak się dzieje? Czym „Express” różni się od „Głosu”? A któż to wie? Pewnie niczym, ale stoją. Raz w tygodniu stoją po „Razem”. Na końcowej stronie „Razem” jest zdjęcie gołej panienki. Raz gołej panny zabrakło. Wtedy, gdy zdechł Breżniew. Kacap pierdolony. Jakiś aparatczyk chciał uczcić pamięć wodza światowego proletariatu i odebrał proletariatowi znad Wisły, Odry, Sanu i Bugu gołą niewiastę. Jak pan feudalny zdecydował, przy jakiej okazji jego pańszczyźniani chłopci będą oglądać gołą

cyci. Przed wojną fabrykanci zmuszali synów pańszczyźnianych chłopów, by ci płakali na pogrzebach swoich pryncypałów. Za Kongresówki carscy siepacze ustawiali wielkie szubienice, by byli pańszczyźniany chłopci drżeli przed majestatem dwugłowego orła. Lata płyną, czasy się zmieniają, pańszczyźnianym chłopom wymyśla się nowe nazwy, a oni trwają. Po dawnemu wymigują się od pracy. Nienawidzą karbowych, ekonomów. Nienawidzą swoich panów, ale widzą, że to dzięki nim mają na chleb z salcesonem. W niedzielę idą odwiedzić plebana. Nie wierzą, ale idą. Nie rozumieją, ale czują. Pałą Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Rzucają na tacę swoje niedojedzone salcesony. Stoją w przedsionkach i spoglądają na swoje zegarki z melodyjkami. Podczas podniesienia dziwnie kucają. Gdy dzień jest ładny, w trakcie kazania idą na fajkę. Ich kobiety chwalą łąki umajone, a oni kucają. Po co przychodzą? A któż to wie? Ich dziadowie spod Zduńskiej Woli też kucali. A w dni ładne siedzieli na murku wokół kościoła. I też rzucali na tacę niedojedzone salcesony. Podczas pasterki wchodził do środka. W żyłach pulsowała okowita. Ich wnukowie okowity nie piją. Tylko żytnią i wyborową, ale podczas pasterki też wchodzi do środka. Niepewnie, ale wchodzi. Podczas majowych komunii wchodzi rzadko. Z reguły jest już ciepło. Toteż stoją w miejscu, gdzie w ich rodzinnych wioskach znajduje się murek wokół kościoła. Wiosna, panie sierżancie.

Nagle Tadeusz usłyszał jakieś zdławione okrzyki. Dochodziły z kępy krzaków rosnących blisko przystanku. Instynktownie ruszył naprzód. Gdy wpadł w zarośla, zobaczył kobietę przyciskaną do ziemi przez dwóch drabów. Walka trwała krótko. Pierwszy – ze złamaną ręką – czmychnął w popłochu, drugi dał drapaką zaraz po spektakularnym wykręceniu ręki pierwszego. Na mokrej ziemi leżała niedoszła ofiara. Tadeusz podszedł bliżej i podał rękę kobiecie. Ta cała dygotała z zimna i strachu. Porucznik z uwagą przyjrzał się jej smukłej, dwudziestoparoletniej figurze. Mokre, ubłocone kędziory opadały na ładną,

blada z trwogi twarz. W robionym na drutach swetrze tkwił opornik. Tadeusz zdjął kurtkę i okrył nią kobietę. Podziękowała ruchem gałek ocznych.

– Odwiozę panią do domu – powiedział.

W odpowiedzi wybuchnęła płaczem.

Piwo z Niemiec rozplęnęło się w ustach biesiadników w mgnieniu oka. Pan Miecio i pan Czarek skonstatowali, że wypite piwo zmotywowało ich co najwyżej do częstszego odwiedzania toalety. Na stan odurzenia alkoholowego nijak nie wpłynęło. Zrozpaczony pan Miecio zaproponował salomonowe rozwiązanie.

– Heniu, a może skoczyć do Gryglaszewskiej? Ona ma różne nalewki. Co to jej ojciec nieboszczyk robił jeszcze za Gierka. No, to znaczy przed kartkami.

Henio nie zdążył odpowiedzieć, bo do mikroskopijnego przedpokoju wszedł Andrzej. Trzynastoletni syn Henryka i Ireny.

– Jezus Maria! Tak się martwiłam! – zawołała Irenka.

W odpowiedzi Andrzej z dumą rozpostarł szalik Widzewa i ochrypłym głosem zawołał:

– Zwycięstwo!

Nie padł jednak martwy – jak posłaniec spod Maratonu – tylko łakomie spojrzął na resztki mielonki.

– Już ci, synku, robię kanapki – powiedziała Irenka.

– Wreszcie jesteś – odezwał się Henio. – Zanim zjesz, to skocz do Gryglaszewskiej po butelkę nalewki. Powiedz, że ja proszę.

Andrzej ruszył rażno ku drzwiom sąsiadki.

– No, to tera godnie uczcimy awans do ćwierćfinału! – z radością zawołał pan Miecio.

Nie zdążył jednak zapalić, gdy do pokoju wpadł jak bomba Andrzej.

– Gryglaszewska chyba nie żyje! – krzyknął.